Nr. 30. We Lwowie dnia 29. lipca 1900. Rok 8.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

SIEWY

— A dopomóż Panie Boże!
— Panie Boże daj!
Pług za pługiem oto orze
Jak szeroki kraj!

Hej! głęboko a szczęśliwie
Krajmy skiby na tej niwie:
Siew za pasem, siew!

Dawno przeszły żniwa znojne,
Żniwa długie, niespokojne,
Łzy, i pot, i krew...

Dawno padły zbożne kłosy,
Krwią spłynęły mnogie kosy,
Pusta niwa już.

Odpoczęła, poczerniała,
Po łzach dawnych sił nabrała,
Nowych czeka zbóż.

Czas do pługów, czas do roli,
Rzucać siewy nowej doli,
Gospodarze, czas!

A jak pękną lody twarde,
Wzniosą czoła łany harde
Jako bór, jak las.

Choć za pługiem wrona kracze
Na złą dolę wam, oracze —
Plon wyrośnie, plon!

Jeszcześ długa, ciężka zima,
I niejeden nie dotrzyma,
Niejednemu skon...

Lecz kto plonów złotych pragnie,
Niech do pługa czoło nagnie:
Orać nam i siać!

I nie ustać w krwawym trudzie,
I nie marzyć nam o cudzie:
Samym dolę brać.

A jak z wiosną słońce wstanie,
Jak rozejrzy się po łanie,
Rajże będzie, raj!

Więc kto sieje, a kto orze,
To — dopomóż Panie Boże!
Panie Boże daj!

Maryla Markowska

(2)

ZE WSPOMNIEŃ DEMOKRATY.

Było takich trenów przynajmniej z mendel. Jeden, Konstantego Gaszyńskiego, rówieśnika „generałowicza“ Zygmunta pochwalił Fr. Sal. Dmochowski w swojej „Bibliotece polskiej“ może dlatego, że młodziutkiego autora, podówczas ucznia liceum, znał z obiadów czwartkowych Innych zganił z przyciskiem w tych słowach:

Staszic do poetów.

Doszedł dźwięk waszych pieśni w zacisza grobowe,
Po zgonie, jak za życia, cenię czucia prawe,
Lecz przestańcie wierszami zarzucać Warszawę
Bo silne macie barki, ale słabą głowę.

Tym niewinnym wierszykiem obrażeni autorowie tylu elegij, dopuścili się czynnej zniewagi na osobie redaktora Biblioteki polskiej, gdy ten wieczorem wychodził od swej narzeczonéj; puścili przytem w obieg następującą pogróżkę:

Dmochowski poddmuchany przez poddmuchy wieszcze,
Dostał kijem po grzbiecie i dostanie jeszcze.

Po stronie Dmochowskiego, stanął K. Koźmian. Janowski, który również napisał był łacińską elegję na zgon Staszica, (umieszczoną w „Gazecie warszawskiej“) z przesadnych pochwał przeszedł w pamiętniku do oskarżeń autora „Rodu ludzkiego“. Ów niegdyś wielbiciel demokracji francuskiej, „najzuchwalszy Jakobin“, skoro zakosztował najwyższej władzy stał się, jak sądzi Janowski, „obrońcą i wykonawcą bezprawi“.

W ostatnim roku studjów uniwersyteckich, 1827 r. otrzymał Janowski złoty medal za drugą rozprawę: „O uwadze“, zarówno z J. B. Ostrowskim, późniejszym redaktorem „Nowej Polski“ i Ludwikiem Królikowskim, autorem „Polski Chrystusowej“. K. Brodziński, czytając przy rozdawaniu nagród sąd o tych rozprawach, przyznawał pod względem czystości języka największe zalety pracy Janowskiego.

Wspominając o tych czasach uniwersyteckich, kreśli Janowski życie młodzieży warszawskiej. Z opisu tego podaję kilka wyjątków w dosłownem brzmieniu. „Młodzież warszawska nie była tak mało myśląca i uspołeczniona, jak ją przedstawia M. Mochnacki w porównaniu z młodzieżą uniwersytetu wileńskiego. Wyróżniała się wprawdzie mała grupa paniczów, do której należeli Paweł Popiel, Aleks. Jełowicki, hrabia Stadnicki, Alf. Skórkowski, wielce niesympatyczni i przez kolegów nielubiani. (Wchodzących na salę — a przychodzili zawsze późno i z osobna — witano okrzykiem „Szremski! Szremski!“) Po za tymi wyjątkami, jednak młodzież ówczesna była szlachetną i zapalną. Zbierała się luźno, bez organizacji w handelku Gołońskiego, przy ulicy Freta, a gdy później wzbroniono uczniom bywać po miejscach publicznych, w prywatnem mieszkaniu Hirberta, właściciela kawiarni. Owe schadzki kilkudziesięciu studentów, z konieczności tajne, nie miały zrazu żadnych rewolucyjnych dążeń na celu. O charakterze ich daje wyobrażenie t. z. Zantówka, t. j. pieśń w duchu Zanda, zabójcy Kotzebuego, utworzona. Nie różniła się w niczem od innych pieśni burszowskich i odpowiadała panującemu po kongresie wiedeńskim duchowi libertynizmu. Oto wyjątek na próbę.

Do Ciebie Panie Bracie,
Niech żyje związku cześć!
Wszak wszyscy pozwalacie
Ten szczytny toast wznieść.
Otwartość jest ozdobą
Wesołych naszych gron
Bodajby tak żyć z sobą,
Aż życie zamknie zgon.

WŁ. JAROSZ.

OSTATNIE ŁZY

Był dzień jakiś senny.

Ludzie, co dawno kartofle skończyli okopywać, czekali, kiedy się zacznie jaka robota w polu. Wałęsano się po wsi bez celu, bez potrzeby aby zabić czas, co cieknie tak pomału, że — widzi się — końca temu przednówkowi nie będzie.

Chłop kręci się sennie, leniwo po obejściu, a po niebie równie sennie tarzają się skłębione chmury, grube, nisko nad ziemią wiszące, co przygniatają swojem cielskiem smutny widnokrąg. Ani z nich deszczu, ani pogody. Czasem przedrze się która, jak płótno zbutwiałe, co, rozwieszone, rozłazi się pod swoim własnym ciężarem, a przez ten rozpad widać na chwilę niebo sine, łagodne i zawsze jednako uśmiechnięte, czy patrzy się na przednówki najcięższe, czy na obfite żniwa...

Na Michałowem obejściu gazda siedział okrakiem na dziadku i strugał deskę zawzięcie. Głową dziadka jeden koniec deski przycisnął, a drugi o piersi oparł i strugał, kiwając się, jak żyd modlitwy odprawiający. Ręce z ośnikiem przed siebie wyciągał, to kurczył, a wtedy z pod ostrza wyskakiwały cieńsze i grubsze wióry, jak wstążki, przesiąknięte zapachem świeżego drzewa.

Na suchą, ziemiastą twarz gazdy występowały krople potu. Ze skroni z pod włosów wypływały, z pod długich, ciemnych prostych włosów, zaginających się jak druty na ramionach, zgrzebną, połataną koszulą okrytych — ta powoli staczały się po obliczu Michała. Krople potu ścigały się — pomału na wilgotnej twarzy tworzyły się strumienie, cieknące po policzkach, brodzie, szyi, aż ginęły na rozchełstanej, suchej piersi.

Michał coraz częściej ucierał krótkim urwanym ruchem ręki twarz ceglastę zmęczeniem, coraz częściej odpoczywał, dysząc ciężko, — aż ustał, wyprostował się, obydwoma rękawami przejechał po spoconej twarzy i jęknął.

— To już i truny dla niego sam nie skończę — czy jak?...

Dyszał chwilę i znowu siadał, zabierając się powoli do roboty.

— Nie bój się... będziesz miał trunę, jak pudełko... Samem deszczki wybierał nowe, bielu-

Sąd Janowskiego o młodzieży uniwersytetu warszawskiego w porównaniu z współczesnymi jej filaretami wypada na niekorzyść tych ostatnich. „Tamci — powiada — tworzyli zastęp demokratyczny na usługi sprawy publicznej, ci zaś albo szkodzili tej sprawie, przedzierzgnąwszy się wnet w pietystów, mistyków i sekciarzy z Mickiewiczem na czele, albo byli dla niej obojętnymi, myśląc tylko o zrobieniu gdzieniebądź karjery, jak Ignacy Domejko“. Oto jak opisuje Janowski zebrania, na których toczyła się walka klasyków z romantykami. „Po ukończeniu uniwersytetu 1827 r. bywałem często na wieczorkach u sędziego Raciborskiego. A że tam znajdowali się zawsze zwolennicy jednej i drugiej szkoły, przychodziło nieraz do ustnej szermierki, której się rad przysłuchiwałem, nie biorąc w niej żadnego prawie udziału, bo nie sądziłem — jakby powiedział Francuz — avoir voix au chapitre, lubo przechylałem się na stronę romantyków. Jak po dziś dzień rozumnej szałem młodzieży, tak i mnie wówczas podobała się Oda do młodości, potępiająca bezwzględnie wiek stary. Ludwik Osiński — pamiętam — oburzał się niezmiernie na zdanie Mickiewicza, że oświata zatrzymała się u rogatek warszawskich i jeżeli sarkazmy jego nie wszystkim trafiały do przekonania, rozweselały wszystkich, bo mu dowcipu nie można było odmówić i nikt z obecnych nie śmiał mu się nigdy bardzo sprzeciwiać, jako mającemu niemałą i bądź co bądź zasłużoną powagę w literaturze ojczystej. Wszystko więc kończyło się zawsze z zadowoleniem wszystkich, zwłaszcza, że te wieczorki odbywały się na sucho“.

W uniwersytecie samym system wychowawczy z czasów wolnomyślniejszego ministerstwa Stanisława Potockiego uległ za St. Grabowskiego wpływom reakcji, stawiającej ważne zapory swobodnemu rozwojowi nauki i umiejętności. I tak wykład filozofji, w języku łacińskim, poruczono Kr. L. Szyrmie, który „nie umiał ani filozofji, ani łaciny“. Feliks Bentkowski, zasłużony zresztą autor Historji literatury polskiej, który w pierwszych latach uniwersytetu „rozpoczynał kurs historji powszechnej, jak Owidjusz swoje Metamorfozy od chaosu, z którego się świat s a m wyłonił, za ministerstwa Grabowskiego, rozpoczynał tenże kurs od stworzenia świata podług księgi rodzaju“... Wstecznej dążności Grabowskiego dowodziło też zaprowadzenie obowiązkowej dla słuchaczów uniwersytetu spowiedzi i przeniesienie wydziału teologicznego z uniwersytetu do seminarjum duchownego, przez co zapobieżono stykaniu się kleryków ze świeckimi uczniami, wśród których wyobrażenia liberalne kiełkowały i pozbawiono ich sposobności korzystania ze światła nauk przez wstępowanie na wykłady uniwersyteckie.

Z profesorów uniwersytetu warszawskiego, poświęca Janowski więcej miejsca W. Bandtkiemu. Wykładał on dawne prawo polskie i jego historję ze s k r y p t ó w, niemniej przeto z wielką dla uczniów korzyścią. Na katedrze i w urzędowaniu nieco sztywny i pedancki, pozbywał się tych wad w towarzystwie; w domu był wesołym i żartobliwym. Lelewel, stojący w społecznych i naukowych kwestjach na wprost przeciwnem stanowisku, zarzucał mu — i poniekąd słusznie — że „z katedry powstawał na przywileje szlacheckie, a sam wyrobił sobie szlachectwo z przerobienia swego nazwiska na Bandtkie-Stężyński“. W. A. Maciejowski, wówczas jeszcze profesor łaciny w liceum warszawskiem, wykładał w tymże języku prawo rzymskie i jego historję. „Miał on zwyczaj przesłuchiwania uczniów od czasu do czasu z poprzednich prelekcyj. W ojczystym języku wyrażał się źle, raziło uczniów i to, że nie wymawiał dobrze *ł*, ile razy zachęcał ich do kopiowania swoich — jak mówił — dzie*l*ek. Dlatego

---

skie, ta pachnące... Lepiej ci w niej będzie, jak w chałupie było...

Michał patrzał na deskę, trzymając ośnik w ręku.

— I do grobu sam cię spuszczę — pomału, delikatnie... Ziemią sam cię przysypię, a nikomu nie dam, żeby nie barz po trunie dudniało. Pomału cię przysypię, cicho, ta mięciuśko, żeby cię nie zbudzić...

Westchnął.

— Bo tam taki lepiej, jak tu.

Spuścił głowę na piersi. Po chwili zaczął znów strugać, a przez mózg jego błyskawicami latały wspomnienia całego twardego życia. Obrazy migały, krzyżowały się, mieniły, plątały — żarzyły się iskrami silniejszych przebytych wrażeń, aż wszystkie słabsze ściemniały — rozwiały się, a został jeden pas, przetykany smutkiem i radością, rozpaczą i nadzieją.

Ale więcej złego zaznał Michał na świecie, niż dobrego.

Pamięta...

Małe chłopczysko, boso, po ostrem ściernisku uganiał się z siostrą, co kłóska zbierała. Na cierń skoczył, ta nogę przebódł strasznie. A ona, Hanka, ranę mu śliną obmyła. cierń paznokciami wyjęła, a potem zapaski kawał urwała, żeby nogę zawinąć.

Tak mu wtenczas jakoś dobrze było — tak dobrze...

Siwe oczy Hanki widzi do dziś dnia — widzi, jak pełne ciepłej troski patrzą w niego...

— Boli cię?...

— Nie boli, Haniu — nie boli...

Już wtedy dwoje ich ostało. Rodzice pomarli, a oni poszli do stryka, na cięzki sierocy chleb — na poniewierkę...

Szklane oczy Michała patrzyły martwotą rezygnacji. Powlókł spojrzeniem po desce i patrzył na nią bezmyślnie...

Aha...

Raz jałówkę przywiódł z pastwiska, co się zduła na koniczu. Pomału wtenczas wracał, choć śpieszyło mu się jałówkę odratować. Długa była droga z pastwiska do chaty — przecież migiem minęła. Boże!... co to się wtedy nie działo na strykowem obejściu... Ryk jałówki, nawoływanie i głośne rady sąsiadów, wyklinanie stryjenki,

nazwano go Dziedzkiem. Nie było jednak w tem żartobliwem przezwisku chęci ubliżenia profesorowi, który był w ogóle lubiany i poważany".

Janowski zostawszy 1827 magistrem obojga prawa, rozpoczął aplikację w sądownictwie i równocześnie próbował sił swych na polu dziennikarskiem. Zaznajomiwszy się z F. S. Dmochowskim, podówczas redaktorem „Korespondenta" i „Wiadomości warszawskich", przyjął u niego obowiązki tłómacza, głównie z języka niemieckiego. Ówczesne bowiem pisma zasilały się zarówno ze źródeł niemieckich, jak francuskich. W domu redaktora zapoznał się Janowski z ówczesnymi literatami, między innymi z A. E. Odyńcem, którego tak opisuje: „Nie brak mu było dowcipu i jako kandydat do Parnasu lubił się nim popisywać. Mnie się jednak jego zdania po większej części nie podobały, widziałem już w nim kawał dworaka, a obok pochopności do światowych zabaw skłonność do bigotyzmu. I nie dziwiło mię to, że przy schyłku życia, znalazł się w gronie odstępców wileńskich". O Dmochowskim powiada, że wyjeżdżał na prowincję dla handlu swemi tłómaczeniami romansów Walter Skota, które umyślną furmanką rozwoził na sprzedaż „po jarmarkach", a robił to dopiero wtenczas, gdy Janowski „wdrożony już we wszystko, co się tyczyło wydawnictwa gazety, mógł go zupełnie zastąpić". Było to około 1828 r. Janowski „terminował" najpierw w gazecie „Korespondent", której Dmochowski był zrazu tylko dzierżawcą. Zarobiwszy jednak znacznie na tłómaczeniach Walter Skota zapragnął mieć własny dziennik i zaczął wydawać „Przewodnik Polski", podejmując z L. A. Dmuszewskim, redaktorem „Kurjera Warszawskiego" konkurencyjną walkę, w której padł jak długi.

Polemika naukowa z Lelewelem w sprawie wpływu prawa rzymskiego na dawne polskie, tudzież sumienne spełnianie obowiązków zjednały 25 letniemu młodzieńcowi posadę referenta w Komisji rządowej przychodów i skarbu z płacą 4000 złp. oraz miejsce bibliotekarza i dozorcy archiwum w Towarzystwie przyjaciół nauk, gdzie miał mieszkanie, światło, opał i 1200 złp. rocznie.

Wpływy Towarzystwa w ostatnich latach jego istnienia znacznie zmalały. W epoce budzącego się do życia romantyzmu wszyscy czciciele muz w tem szanownem gronie: Niemcewicz, Osiński, Koźmian — z wyjątkiem Brodzińskiego — byli klasykami quand même. Jako bibliotekarz Towarzystwa, obecny na wszystkich posiedzeniach, zetknął się Janowski z dygnitarzami towarzystwa, których tak opisuje, zaczynając od prezesa.

J. Niemcewicz używał zasłużonej sławy jako starej daty patrjota, jako poseł na sejmie czteroletnim domagający się „miecza sprawiedliwości" na głowy zdrajców, którzy się „nad pospolitą równość szlachecką wynosili". Po salonach słynął ze „Śpiewów historycznych" i zajmował pierwsze miejsce u stołu arystokratów. W opinji powszechnej uchodził za przyjaciela Kościuszki, lubo w istocie był tylko jego adjutantem i współwięźniem. Umiał być dowcipnym a nieraz nawet złośliwym, to też żona namiestnika, Zajączkowa, mawiała o nim, iż „kogo Niemcewicz ukąsi, ten musi się wściekać". Młodszych wiekiem, jak np. Lacha Szyrmę, traktował z góry, mówiąc im: Mości zamiast: kolego, jak tytułował innych członków Towarzystwa. J. Lelewela nie lubił i dawał mu to nieraz uczuć. Nie zapomniał mu jego krytyki Śpiewów historycznych.

Sekretarzem Towarzystwa był Fryderyk hr. Skarbek, profesor ekonomji politycznej w uniwersytecie warszawskim, referendarz stanu w ko-

---

a potem stryk, jakby co do niego przystąpiło, za łeb go chwycił — ta jak nie zacznie prać.... Stryjna do siekiery — Hanka trąciła go przez przełaz i on pognał przez pola, a gnał, że dziwił się, skąd w nim po takim basarunku tyle siły siedzi. Przez dwie niedziele tłukł się po lesie, aż go dzwonników Mikołaj złapał, ta do wsi przywiódł.

Albo...

Pierwszy raz jechał konie w rzece pławić.

Już bydła od wtedy nie pasł — na parobka wyrósł... Pamięta, jak w niedzielę po służbie bożej pierwszy raz cwałował z parobkami przez wieś. Ludzie ze służby kupkami wychodzili — wszystko uradowane, niebo samo, widziało się, słoneczkiem do wsi zielonej mruga — a oni sadzą przez wieś w galopie, tłukąc sobą biedne szkapięta...

— Hop!... hop!...

Co za honor — dziedzicem gdyby go kto zrobił, nie byłby taki hardy.

Uśmiechał się blado i ten uśmiech nie schodził z oblicza, kiedy deskę z pod dziadka wyciągnął i krajem do oka przyłożył, patrząc, czy równo zestrugał...

Pamięta...

W niedzielę do karczmy zaszedł, popatrzeć ta potańcować. Do Maryśki Kotowej podszedł, śpiewankę jakąś ułożył i śpiewać zaczął, kiedy go Jacko, co z wojska wtenczas — za wrócił piersi złapał, ta w kąt odrzucił. Jak szczeniaka go jedną ręką wziął i odrzucił...

— Takich skrepirowanych suchotników tu nie trza!... I nawet bić się z nim nie chciał. A jego kąsała złość po piersiach, ta z żeber po kawałku ciała żywego wydzierała — palce sobie gryzł, żeby choć swoją krwią wściekłość bezsilną napoić...

Goryczy pełne spojrzenie Michała ślizgało się po ostrzu lśniącego ośnika.

A potem...

Ona — Hanka zamąż wyszła i marnieć zaczęła. I zmarniała: po pierwszem dziecku pomarła — na suchoty, tak jak rodzice, jak jego dzieci wszystkie, jak Hanczyne dziecko, jak nawet jego żona...

— Boże — Boże... i poco to tego wszystkiego trza było...

misji rządowej spraw wewnętrznych, członek Rady administracyjnej Królestwa, człowiek niezmordowanej pracowitości: autor powieści, pisarz dramatyczny i ekonomista, zajmujący się przytem malarstwem i grą na fortepianie i odbywający podróże naukowe.

Drugi sekretarz, Ł. Gołębiowski, był to starzec cichy, dla każdego uprzejmy, a wobec swoich przełożonych nawet uniżony. Jako ojciec liczrej rodziny szczupłe mając dochody, żył bardzo skromnie. Sympatyzował z cichym i jak on potulnym Brodzińskim.

Krystyn Lach Szyrma należał do czynniejszych członków Towarzystwa. Brak wyższego talentu wynagradzał pracowitością i pewnym zapasem mozolnie zdobytej nauki. Na stanowisku profesora filozofji w uniwersytecie był nieodpowiednim, wszakże zjednał sobie zasłużone imię dziełem o Anglji i Szkocji, (które było owocem jego po tych krajach podróży z synami ordynata St. Zamojskiego,) oraz red. „Pamiętnika literatury". W życiu prywatnem był człowiekiem zacnym, przez osobistą jeno wdzięczność służył stronnictwu arystokratycznemu, które swemi matactwami dyplomatycznemi sprowadziło katastrofę. Członkami honorowymi Towarzystwa byli senator Nowosilcow i poeta Żukowski. Z Nowosilcowem zetknął się Janowski zapraszając go w imieniu prezesa na uroczystość odsłonięcia posągu Kopernika. Senator i komisarz cesarski przy rządzie Królestwa mieszkał w porze letniej za miastem w pięknym pałacyku. Z konwencjonalnej z nim rozmowy zapamiętał nasz demokrata, że był bardzo grzeczny i uprzejmy; rozmawiał zaś częścią po polsku, częścią po francusku i był zezowatym.

Jako współpracownik „Kurjera polskiego", tak opisuje Janowski powstanie tego dziennika: Od grudnia 1830 r. zbierał się w mieszkaniu Adolfa Cichowskiego, właściciela pisma, na rogu ulicy Bielańskiej komitet redakcyjny, którego prezesem był J. Lelewel, członkami Niemojowscy, L. Osiński, K. Brodziński, Ks. Bronikowski, M. Mochnacki. Redaktorem odpowiedzialnym i sekretarzem był L. Żukowski. Wstępne, w ogóle główniejsze artykuły omawiano na posiedzeniach i większością głosów były przyjmowane lub odrzucane. Niekiedy wprowadzane były osoby z po za redakcji dla zasięgnięcia ich zdania w sprawach ważniejszych a może tylko dla wybadania opinji publicznej. I tak np. był na posiedzeniu prezes banku Z. hr. Jelski, zanim wyjechał z misją do Wiednia. Innym razem Konstanty Świdziński, poseł opaczyński, czytał tu najprzód poufnie swój projekt do manifestu sejmowego z czego wywiązała się żwawa dyskusja i pierwszy rozłam członków redakcji dotychczas jednym ożywionej duchem.

Wówczas wystąpili z „Kurjera" M. Mochnacki i A. Gurowski, a za nim młodzi i założyli nowy dziennik. Pierwszy wziął na siebie naczelną redakcję, drugi dał 4000 złp. W „Kurjerze" pozostali poważniejsi wiekiem i zasługą a głową ich był W. Niemojowski, pisujący swoje artykuły pod przybranem nazwiskiem: Juvenio albo Veritas. Lelewel bowiem mianowany zastępcą ministra oświecenia tak był swym urzędem zajęty, że rzadko przez ten czas bywał na posiedzeniach. Tym sposobem został „Kurjer polski" organem umiarkowanych, moderantami zwanych, zwłaszcza odkąd redakcję po Żukowskim objął W. Majewski. który funkcję tę spełniał bezpłatnie (Żukowskiemu płacił Cichowski 3000 złp.) dla zaskarbienia sobie łaski partji Kaliskiej. Nowy zaś dziennik pod kierunkiem Mochnackiego i Gurowskiego był niedwuznacznym organem młodych szermierzy pióra, pragnących przenieść teatr nieuniknionej walki poza Bug. Takie też były dwa

---

Siedział na ławie okrakiem, ośnik wyleciał mu z rąk, a on je oparł na desce i schylony rzucał z pod brwi smutne spojrzenie po samotnem obejściu.

Potem... do lat przyszedł, ta ożenił się. Zaczęła się twarda praca i ciężkie znoje potem i łzami oblane. Szare życie ciężkich trudów, co to dłonie modzelami oblekają, a z serca człowieka wyganiają wszystko ciepło dla ludzkiej niedoli...

Cios za ciosem spadał na niego. To dziecko umarło, stodoła zgorzała, to, ledwie ją odbudował, wieś cała z dymem poszła — to jałówka padła, to chłopca pierwszego do wojska mu wzięli, gdzie w rok skapał z udręki... straszny wieniec nieszczęść, z których każde osobno człowieka strawić może.

Całemi miesiącami nie najeść się do syta, gryść się ciągle o każdą topkę soli, o każdy prawie kawałek strawy, co się do gęby kładzie, — martwieć z powodu każdego kaszlnięcia, którego z dziecisk, żreć się ze sąsiadami, — niedostatek, upokorzenie, zwątpienie, czasem rozpacz, czasem mała radość — a zawsze nadzieja — ta oszukanica, co błyszczy zdaleka i prowadzi cię do czegoś nieznanego, co ci się lepszem zdaje, własnie jak ten zły ognik, co po moczarach miga i wodzi zbłąkanego, póki go z sił nie obedrze, ta trupem na ziemię nie zwali...

— I poco to... poco to wszystko...

Jakieś przeklęte nasienie...

Dzieciska mrzeć mu zaczęły. Co podchowało się trochę, to marło. Marło jedne po drugiem, aż przyszła kolej na matkę. Umarła i kłopot ze sobą zabrała, czy będzie miał Michał płótniankę wypraną na służbę boże w niedzielę.

A on, po zasypaniu każdego grobu czuł, że koło niego coraz to więcej rozszerza się pustka, co go sobą obwija i gniecie i dławi i dusi coraz silniej — wpija się w jego ciało, w mózg wżera, a głusząc wszystkie ostatki nadziei, w grób go chodzący zamienia.

Czekał jeno, kiedy mu skapie ostatnie. Dwa lata od śmierci żony czekał, kiedy mu zamrze ostatnie dziecko. Spodziewał się — wiedział na pewne, że nic z chłopca nie będzie — a przecież łudził się czasem, że może śmierć jakoś oszuka. Chodzić go sam nauczył, gadać, spał z nim razem — na krok go od siebie nie puszczał. Na-

prądy rozdzielonej opinji publicznej; jedni z zapałem wołali: Na Litwę! drudzy ten zapał ostudzali hasłem: Zgoda, jedność — Bóg z nami.

Młodzież warszawska, do tej ostatniej partji należąca, zbierała się w kawiarni utrzymywanej przez Honoratę Zimermanową (przy ul. Miodowej), stąd zwano ją Honoratką. Za wstęp do niej, a właściwie do drugiej obszernej sali z galerją, na której przygrywała muzyka, płaciło się wówczas 1 złp., wliczając w to filiżankę dobrej kawy lub szklankę gorącego napoju. Zbałamuceni przez K. Lacha Szyrmę, „filozofa szkockiego na karym koniu“ studenci rej tu wodzili, bawiąc się wesoło i huczno. Stół bilardowy służył im za mównicę. Występowali tu jako śpiewacy Napoleon Orda i A. Strusiński, najczęściej wywoływani przez publiczność. C. d. n.

WRÓŻBA

„Na moją dłoń złóż twoje serce ufnie, szczerze,
Otwórz mi twoje głębie, pełne snów i głuszy.
Jestem wróżką i umiem wróżyć z gwiazd i z duszy,
Ukrytą tajemnicę twych losów ci zwierzę.

„Wsłucham się w twoje serce, jak w głąb starej muszli
Wydzwania uronione krwi korale duże...
Jak szumi... Znałam ludzi, co chowali burze
W chmurnem sercu... Ci ciemnej zagłady nie uszli...

„...Schowaj twe serce!... Spojrzę w twojej duszy wnętrza...
W jej gwiazdy... Umiem wróżyć z gwiazd ukryte losy...
A!... Ciemno... Mrok rozpaczą w bezmiar się wypiętrza...
„...Widziałam raz mrok taki... patrz... siwe mam włosy...“

Lękiem źrenice czarna rozszerza jej mrocznia,
A na zbielałych ustach zamarła wyrocznia.

Leopold Staff.

---

cieszyć się chciał nim ostatnim — i czasem zdawało mu się, że wszystkie groby odżyją w tym małym, o krzywych nogach chłopczysku.

A kiedy znów ta nadzieja rozświetliła jego straszną pustkę, to — zląkł się jej...

Wiedział, że w nim czatują zarodki tej samej choroby, co całą jego rodzinę na cmentarz zielony wysłała. Wiedział to, czuł czasem zimne śmierci dotknięcie, kiedy na piecu leżał z chłopczykiem, a w ciemnej otchłani nocy deszcz szemrał za oknem jękliwie — noc straszne, stłumione westchnienia zionęła. Okrutny strach wtenczas białością mu oczy zaciągał i życie w nim mroził, w potwornych rysując mu kształtach bolesną nędzę sieroty po śmierci ojcowskiej.

Ta sama dola, co jego, czeka chłopca-sierotę. Te same trudy i bole, ta sama rozpacz, nadzieje te same, to samo twarde skapane życie, to samo pchanie ciężaru pod górę po drodze spadzistej poto, aby co krok to niżej spadać, a kawałkami krwi skrzepłej, z serca wydartej znaczyć po urwisku ślady swojego staczania się w przepaść...

Nieraz byłby skonał.

Pewnie byłby już skonał, gdyby był śmierci nie przemógł. Żyć chciał strasznie! Póki dziecko ostatnie żyje, chciał żyć — i woli olbrzymim wysiłkiem odpędzał śmierć od nalepy, a ona, mocą tą gnana, po kątach kurnej chałupy przypadała. Czaiła się...

Podczas nocy zimowych, chłodnych i strasznych długością, Michał walkę zażartą toczył ze śmiercią.

A kiedy chorobą zjedzony osłabł, w pokorę do śmierci się udał, bo bał się, że siłą nie wskóra.

W noc ciemną, mocniejsza jego słabością, z kątów mrocznych wypełzła, ze wszystkich szpar suje swą trupiość — zbliża się coraz... jest wszędzie. Nalepę sobą potrąca, natrętnie dmucha mu w oczy, ręką tak zimną, że parzy, policzków jego dotyka — członkami swoimi go mota...

— Jego wprzód.... jego.... łkał Michał.

Aż i uprosił...

A teraz siedzi, głowę w zadumie skłoniwszy, a po wyschłych policzkach dwie łzy spłynęły i na deskę białą upadły.

Dwie łzy — ostatnie.

ALOJZY JIRASEK.

CHODOWIE.

(4) Obraz historyczny.

Stara matka patrzyła nań w chwilach takich wzrokiem posępnym, z surowo zaciśniętemi wargami, żaląc się jeno w duchu, lub też głośno przed bratem Hrubym z Drażenowa:

— Oh, ten ma inakszą już, widać, krew w żyłach! Nie podał się na ojca — nie! Żona całe wzięła mu serce.

Żona i dzieci — należałoby raczej powiedzieć. Widoczne to było i w tej chwili, gdy siedząc w kółku rodzinnem, śmiał się ciepłym, szczerym śmiechem z zabawnych figlów Pawełka i Hanulki.

Nagle wyprostował się i począł nadsłuchiwać. Jednocześnie stary pies Wilk wyskoczył na środek izby z głośnem szczekaniem.

— Wracali-ż by to nasi od sąsiada, z prządek? — Zdziwiła się gaździna.

— Ni, to ktosi ze świata — zaprzeczył gazda, śpiesząc do sieni, aby otworzyć drzwi pukającemu.

Zasuwa stuknęła i natychmiast z zewnątrz doleciała piosenka, męzkim nucona głosem:

W Ujeździe, na Hradku, piękny ptaszek śpiewa,
A głos jego wokół echami rozbrzmiewa,
Echami rozbrzmiewa wedle naszych wrót...

Spóźniony gość stanął u progu z pozdrowieniem. Wesoły krzyk Pawełka powitał go w odpowiedzi, a gaździna mówiła:

— Pójdź-ż do izby, Iskro! Kaz ta idziesz? Dopiero z miasta do domu? Wczas — o, wczas! Dorla pieknie cię uwita.

— Pieknie — niepieknie. Bedzie ona z chrzanu, bedę ja z pieprzu — zaśmiał się gajdosz.

— Zawdyś taki wesoły, zawdy ino śpiewonki i śpasy masz na myśli — zauważył Jan,

— Jakoż by inaczej? Dyć i wiater dziśka pieknie śpiewa, aże to rozbrzmiewa. Pożal się Boże, jaką miałem drogę. Gajdy same grały — na wietrze, a jach tańcował, skacząc bez kamienie — z mokrego ugoru we mlakę — z błota w błoto — aże mlaskało.

Rzehurzek Iskra złożył gajdy na stolicy i sam usiadł wedle nich, nie zdejmując z głowy baraniej czapki o czerwonem denku. Uśmiech nie znikał z jego twarzy, okrągłej, bez zarostu, z głębokim na brodzie dołkiem. Śmiały się zwłaszcza oczy, wesołe, drwiące, — które miał zwyczaj przymrużać figlarnie, ilekroć przychodziły mu żartobliwe myśli do głowy, lub szczypiące słowa na usta. Wyglądał na rówieśnika Koziny, był jednak o parę lat starszy od niego.

Gaździna tymczasem przyniosła z komory sól, bochenek chleba, owinięty w bielutką szmatę i raczyła gościa wedle zwyczaju.

— Co słychać w mieście? — zapytał gospodarz.

— Nie wiele. W karczmie opowiadali ino dwaj jacyś z miejskiego urzędu, że panowie zaś wywiadują się o nas. Byli hań też i stryk z Drażenowa, i wszystko, jak się patrzy, słyszeli...

— O kogo? o co się wywiadują? — przerwał gwałtownie Kozina.

— O prawa nasze — o cóżby inszego? Radziby należć one papiery, w których stały wypisane nasze prawa, wiesz — te, co to przechowywały się drzewiej u nas na zamku.

— Któż się pytał?

— Był hań rządca Kosz z Kuta, a też i z Terhanowa rządca był. Ani wiem, co to wszystko znaczy, ale w karczmie opowiadano, jako ów Kosz strasznie był zły, gniewał się, sapał i groził, że zaleje Chodom dobrego sadła za skórę.

Gajdosz umilkł, lecz po chwili, jakby nagle coś sobie przypominając, ciągnął dalej:

— Sprawiedliwie powiadał w karczmie ów z urzędu, że papiery Chodów nie utraciły do siela waloru. A przecie nieboszczyk stary Laminger i ten dzisiejszy, młody, szydzili z nas, jako z głupców, gdyśmy się powoływali na pergaminy.

— Iskro, kie byłeś w karczmie? Kie to było?

— Kiejsi. *) Ale jabych myślał...

Urwał, bo stary Wilk rzucił się znowu z głośnem ujadaniem ku drzwiom. Gazda zbliżył się do okna i wpatrzył w noc ciemną, a nie mogąc nic dojrzeć, wyszedł przed sień, na pole.

Iskra, trzymając Pawełka na kolanach, pokazywał mu właśnie, jak ma dąć w dudy, gdy młoda gospodyni położyła mu nagle rękę na ramieniu

— Widziałeś, Iskro, jako się gazda zafrasował tem, coś powiadał? Często teraz bywa markotny bez nijakiej przyczyny. Śmieje się, żartuje i nagle, jakby go cosi kolnęło. Chodzą mu jakieś myśli po głowie — niewiedzieć ino jakie, abo też kamieniem ciężkim cosi serce gniecie. Zdaje mi się niekiedy, że już nie rad mnie widzi, a może nawet lutuje... że pojął za żonę...

— Nie pleć-że lepiej trzy po trzy! — przerwał grajek niecierpliwie. — Nie lutuje i nigdy nie bedzie, — to ci mogę zaręczyć. Nie masz się o co troskać.

— Dej Boże, aby tak było! Ale i ty mnie się nie dziw: o to, co najdroższe, zawdy lęk zdejmuje — westchnęła gaździna, widocznie uspokojona słowami przyjaciela domu.

Młody Kozina tymczasem, wyszedłszy przed sień, bystro rozglądał się wokoło. Noc była ciemna i wiatr wciąż jeszcze zawodził, nie łatwo więc było co dojrzeć lub usłyszeć. — Ale cóż to? — Ktoś puka ostrożnie do okna chałupy hań, naprzeciwko, gdzie mieszkała na wymowie stara jego matka. Spała widocznie, bo w izbie było ciemno, wnet jednak błysnęło światełko i Kozina ujrzał w bijącej z okna smudze dwie męzkie postaci, stojące teraz u drzwi. Czekały przez chwilę, nieruchome, cierpliwe, poczem zniknęły we wnętrzu.

*) Przedwczoraj.

Po krótkiem wahaniu Kozina skierował się do mieszkania matki. Spróbował drzwi — były zamknięte, wówczas przysunął się do okna i schylony, zajrzał do izby. Zobaczył matkę, odzianą w kożuch i obu jej gości. Jeden z nich postawił na stole szkatułkę, dotąd ukrywaną pod płaszczem, drugi wyjął z niej coś błyszczącego, niby srebro, i podał starej Sladkowej.

Wtem rozległ się z przyżby głos Hanki, zaniepokojonej długą nieobecnością męża i Jan szybko odskoczył od okna.

— Niema nikogo — Wilk nadaremnie szczekał — tłumaczył, podchodząc do żony.

— Po coś chodził do mamy?

— Zdziwiłech sie, że jeszcze świeci i chciałech poźrzeć, co robi tak późno. Modli się.

— Pódź-że, pódź wartko! taki ziąb, aże drzę cała — i Iskra do domu się już wybiera. Pawełek nie chce mu oddać kobzy.

Weszli oboje do izby i zastali tu Iskrę, usypiającego małą Hanusię. Nosił ją, kołysał, śpiewał, aż utkwione weń oczęta dziecka zaczęły się zwężać stopniowo i całkiem zamknęły.

— Dobry byłby z ciebie ociec — zażartowała gospodyni.

— A pewnie — szkoda ino, że bocian nie może najść drogi do nas, bo wtedy i Dorla byłaby dla mnie słodsza.

Tłumacząc się, że musi zagrać jeszcze prządkom, aby dostać od nich parę garstek lnu dla żony, wesoły grajek pożegnał przyjaciół. Ale Jan wyszedł za nim przed sień i zapytał przyciszonym głosem, czy i stryj Hruby razem z nim wracał z miasta?

— Nie, ostał w karczmie. Przysiadł się ku onym dwom z urzędu miejskiego i jął z nimi szeptać tak cicho, żech nie ułapił ani słóweczka z ich pogwarki. Ale i ja powiem ci cosi. Hanka mówiła mi, jakie ma umartwienie skrony ciebie. Myśli, nieboraczka, że nie rad ją widzisz, abo masz na sercu jakiś wielgi ciężar. — Pamiętaj, że gdybych ja miał taką rzetelną babę, tobych se śpiewał od rana do nocy, a słońce świeciłoby mi zawdy na niebie. I do czego to wszystko? Co Hanka temu winna, że wilk ma żarłoczne gardło i cudzego łaknie. Nie trza wieszać kowala, kie ślusarz zawinił.

Pożegnał raz jeszcze przyjaciela i zniknął w ciemności. Kozina jednak przez długą chwilę nie wracał do izby, nie mogąc oczu oderwać od oświetlonego naprzeciwko okna. Spóźnieni goście wciąż jeszcze bawili u matki. Chciał znowu tam podejść, ale po namyśle cofnął się w sień. Z izby doleciał go dźwięczny głos żony, która śpiewała:

...I matuli spokój dało...

Teraz dopiero odczuł głębiej w sercu słowa grajka, które przez połowę jeno słyszał, będąc w myślach pogrążony. Głos Hanki, który mu był już nieco spowszedniał, wzruszył go w tej chwili równie silnie, jak wówczas, gdy będąc jeszcze ślebodnym, podsłuchiwał ją ukradkiem śpiewającą w ogródku czystym, dźwięcznym głosem. A gdy wszedłszy do izby, ujrzał żonę, pochyloną troskliwie nad kolebką, posępna zaduma zniknęła mu z czoła — usta rozchylił szczery, serdeczny uśmiech...

Tego wieczora Hanka udała się na spoczynek z zadowolonem i ukojonem sercem. — Czerwony węgiel dopalonego łuczywa błyszczał jeszcze w zamierzchu, aż się spopielił i ciemność zaległa izbę. Wszyscy spali teraz, snem kamiennym — gospodarz, jeno leżąc obok Pawełka, nie mógł usnąć. Dawniej, słuchając spokojnego oddechu drogich sobie istot, sam usypiał spokojnie, teraz nie zwracał na to bynajmniej uwagi. A jednak natężał słuch pilnie w nadziei, że matka może zapuka, zawoła. Nic jednak nie przerwało ciszy, więc po chwili wstał i podszedł do okna.

Naprzeciwko świeciło się jeszcze.

Więc znowu jął oczekiwać, wyglądać...

Z pism i książek.

Jerzy Żuławski. Poezje II. Warszawa 1900.

Wydany obecnie tomik poezji Jerzego Żuławskiego jest prawdziwą niespodzianką. Poprzedziły go trzy publikacje tegoż poety: „Na strunach duszy“ (1895) „Intermezzo“ (1897) i „Stance i pieśni“ (wydane bezimiennie 1897), które jednakże — szczególniej zaś tomik pierwszy — nie pozwalały przypuszczać, że Żuławski zdoła dać rzecz tak dobrą, jak omawiana właśnie publikacja.

Żuławski przedstawia się w niej jako poeta-filozof, pesymista wprawdzie, ale nie płytki pesymista powtarzający ciągle te same wyrzekania, ale jako myśliciel, mimo nieoptymistycznego poglądu na świat, pełen tężyzny duchowej.

Niema też w jego książce okruchów myśli, zamkniętych w kilkuwierszowe zespolenia stroficzne, ale przeważnie mamy do czynienia z utworami większymi, w których ta lub owa myśl filozoficzna wyraża się jasno, wyraziście i pięknie. A dla rozmyślań swych czerpie Żuławski podstawy kompozycyjne już to z talmudu, legend indyjskich lub biblji, albo też ze skarbnicy własnej fantazji.

W wierszu „Ananke“ ilustruje poeta fatalizm — w poematach „Dies irae“ i „Lucyfer“ widzimy Boga, pojętego po hebrajsku, jako tyrana wszechmocnego i nieczułego — poemat „Nad morzem“ przedstawia konflikt kierunku racjonalistycznego i idealnego — zaś prześliczne poematy fantastyczne: „Narodziny Psychy“ oraz „Lotos“, pisane wspaniałymi tercynami, przedstawiają pierwszy — chwilę obudzenia się w człowieku pierwotnym porywów idealnych i umiłowania piękna, a więc przebudzenie się d u s z y — drugi, miłość śmiertelnika do cudnego kwiatu Lotosu, pod którym symbolizuje poeta „duszę świata“.

Dodajmy do tego, że Żuławski znakomicie zawładnął już formą, że w krainie rzeczywistości równie śmiało kroczy, jak w krainie fantazji, a przyjdziemy do przekonania, że należy mu się jedno z pierwszych miejsc wśród dzisiejszych „najmłodszych“.

A. Stodor.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów, ul. Kopernika 5.